



GRA NA DWA FRONTY

Gina kocha swojego chłopaka
i wkrótce wyjdzie za mąż.

George właśnie dołączyła
do kultowej lesbijskiej kapeli.

Gina i George to ta sama osoba.

LILY LINDON

ALBATROS

Tytuł oryginału:
DOUBLE BOOKED

Copyright © Lily Lindon 2022
All rights reserved
including the rights of reproduction in whole or in part in any form
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022
Polish translation copyright © Robert Waliś 2022

Redakcja: Aleksandra Żdan
Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

1

– Przepraszam, nie mogę. Mam inne plany.

– Georgino! – parska Soph. Rozmawiamy przez telefon, ale oczami wyobraźni widzę jej sarkastyczne spojrzenie. – Dobrze wiesz, że ja wiem, że nie masz żadnych innych planów.

Jest piętnasta czterdzieści dwie. Właśnie udzieliłam ostatniej lekcji pianina w tym tygodniu i jeśli utrzymam typowe tempo marszu, dotrę do metra przed godzinami szczytu, dzięki czemu zaoszczędzę pięćdziesiąt pensów.

– Jest piątek, więc zamówię coś na wynos z Cod Almighty – odpowiadam. – Ryba z frytkami i ketchupem. Potem przygotuję kąpiel, wypiję kieliszek białego wina i...

– ...będziesz oglądać *Przyjaciół* – kończy Soph. – Wiem. Ale wcale nie musisz. Mogłabyś raz zmienić swoje zwyczaje, wyjść gdzieś ze mną i dla odmiany trochę się zabawić.

– Serio, co może być przyjemniejszego od oglądania *Przyjaciół* w wannie?

– Czy ja wiem... cokolwiek? – odpowiada, nie kryjąc sarkazmu, Soph. – Na przykład to, co ci teraz proponuję? Żebyś przyszła do jednego z najlepszych lesbijskich barów w Londynie, zobaczyła na żywo jedną z najciekawszych młodych alternatywnych kapel popowych i napiła się na koszt swojej hojnej i uroczej przyjaciółki?

Udaję, że się zastanawiam, ale nie przerywam szybkiego marszu w stronę domu. Pamiętam, żeby zrobić krok nad niebezpiecznie chwiejną pokrywą studzienki, by ochronić swoje najwygodniejsze buty na obcasach przed zdarciem. Dobra robota, Gina!

Tego popołudnia pojawiają się przebliski wiosny, złocisty blask niechętnie przebijający się przez typową londyńską szarówkę. Żeby poczuć ciepło na karku, przytrzymuję telefon ramieniem i upinam włosy w kok.

Potem dostrzegam swoje odbicie w witrynie sklepowej i przypominam sobie, że wyglądam oszałamiająco źle z upiętymi włosami. Widać wtedy moją masywną szczękę, straszne piegi na szyi i uszy odstające jak u ogrodowego krasnala, dlatego czym prędzej rozpuszczam włosy, które opadają bezwładnie niczym brązowe zasłony. Nie wyglądają zbyt dobrze, ale przynajmniej zasłaniają uszy.

– Z pewnością jest ktoś bardziej odpowiedni, z kim mogłabyś pójść. Zapomniałaś, z którą ze swoich koleżanek rozmawiasz? Jestem Gina, pospolita nudziara, do tego wyjątkowo hetero.

– Zdaje mi się, że ta dama przyrzeka za wiele.

– Nie zaczynaj z tymi bzdurami, bo cię oskarżę o terapię konwersyjną. Dlaczego nie możesz iść z Jenny?

Soph nie odpowiada. Próbuję sobie wyobrazić, jaką ma minę, ale intuicja podpowiada mi, że spuściłaby wzrok, by uniknąć mojego spojrzenia.

Zwalniam kroku. Będę wściekła, jeśli przegapię zniżkę w metrze, ale pocieszenie przyjaciółki chyba jest warte tych pięćdziesięciu pensów.

– Miałaś pójść z Jenny, ale znów zerwałyście – wnioskuję.

Jenny jest szczerą i naturalną kobietą, która włożyłaby ubłoconą koszulkę Arsenalu na własny ślub. Ona i Soph bez przerwy schodzą się i rozchodzą. Są jak Ross i Rachel.

– Znów nie chciała wystąpić w twoich filmach na SophieSnob?

Soph zgodnie z przewidywaniami wybucha. Odsuwam telefon, żeby nie stracić słuchu.

– Nie rozumiem jej. Większość kobiet ślini się na mój widok. Jestem śliczna! Zabawna! Bystra! Ale Jenny nawet nie chce zrobić sobie ze mną sesji zdjęciowej.

– Błuznierstwo – zgadzam się.

– Nieważne – wzdycha. – Po prostu szkoda. Filmiki par są bardzo popularne, a nigdy nie udało mi się żadnego nakręcić... Może rzeczywiście lepiej mi wychodzi bycie singielką.

Udziela mi się jej posępny nastrój.

– Skoro wstydziłabyś się pójść tam z Jenny, to z pewnością nie powinnaś zabierać mnie – mówię, bawiąc się guzikiem staroświeckiej szarej sukienki. – Swojej obrzydliwie pospolitej przyzwoitki.

– Nie jesteś obrzydliwie pospolita. – Przez chwilę milczy. – Ale jeśli chcesz, mogłabym udzielić ci kilku wskazówek.

– Właśnie wchodzę do metra – kłamię. – Powodzenia!

– Wcale nie. Wciąż masz półtorej minuty.

Cholera! Cholerna Soph! Cholerne przewidywalne zwyczaje!

Przyśpieszam kroku.

– Może pójdziesz z jedną ze swoich imprezowych lesbijek? – rzucam.

– Wolę ciebie!

Czekam.

– A poza tym wszystkie są na urlopie w erotycznym lochu w Berlinie.

– Ano właśnie. Do widz...

– Serio, to najlepsze, co mogło się stać – przerywa mi szybko.

– Nagram trochę materiału, a potem schowamy się w kącie i będziemy krytykować zespół. Tylko my dwie, Gee, jak za dawnych lat. Proooszę...

W czasach uniwersyteckich Soph i ja uważałyśmy się za lowczyńnię talentów i chodziłyśmy na wszystkie koncerty, jakie mogłyśmy sobie zafundować w ramach studenckiego budżetu. Potem Soph recenzowała kapele na swoim vlogu, a ja szukałam inspiracji dla własnych piosenek. Oczywiście nie robimy tego od lat.

Ale oto nadchodzi wybawienie! Widzę wejście do metra. Już czuję smak mojego dorsza z frytkami. Otwieram usta, by potwierdzić, że nigdzie się dziś nie wybieram, ale powstrzymuje mnie nagła łagodność w głosie Soph.

– Proszę, Gee... Wiem, że wciąż jest ci ciężko... – Zmienia podejście. – Nie nalegałabym, gdybym nie uważała, że... naprawdę sądzę, że powinnyśmy się dzisiaj zabawić. Brakuje mi naszych rozmów o muzyce.

Zamykam oczy i przez chwilę to sobie wyobrażam: siedzimy razem z Soph w ciemnym kącie baru z neonami, całe wylaszczone, sączymy koktajle, patrzymy ukradkiem na roześmiane, pewne siebie kobiety, słuchamy kapeli, która zaczyna grać, i...

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową i maszerując do mojego celu. – Wybacz, Soph, ale nie mogę. Znajdziesz kogoś innego, jakąś piękną lesbijkę, a w poniedziałek, kiedy usiądziemy na twojej sofie, o wszystkim mi opowiesz. Dzisiaj idę na wesele z moimi *Przyjaciółmi*.

Mój palec jest o milimetr od ikony kończącej połączenie, gdy Soph wyciąga asa z rękawa.

– Pumpernikiel.

Upuszczam telefon. Jakiś bankier na mnie wpada i klnie jak szewc. Podnoszę komórkę.

– Serio? – syczę do słuchawki.

– Serio – odpowiada Soph. – Pumpernikiel.

Pumpernikiel to nasz pakt krwi, do którego się odwołujemy, kiedy potrzebujemy przysługi. Zaczęło się to na drugim roku studiów, gdy Soph najadła się pysznego, ale ciężkostrawnego pumpernika i narobiła bałaganu w naszej toalecie tuż przed pojawieniem się dziewczyny, w której była wtedy zabujana. Wzięłam winę na siebie. Od tamtej pory „pumpernikiel” jest narzędziem przekupstwa. Dzięki niemu Soph zachęcała ludzi do owacji podczas moich fatalnych pierwszych koncertów, ja zrywałam w jej imieniu z dziewczynami, a obie pisałyśmy za siebie wypracowania. Pumpernika nie można odmówić.

Co dziwne, czuję przyływ ulgi.

Wyświadczenie pumperniklowych przysług jest jak realizowanie planu zapisanego w kalendarzu: nie robię tego z wyboru, więc to nie moja wina, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Będę u ciebie o szóstej – odpowiadam. – Ale i tak chcę frytki.

Po zakończeniu rozmowy uaktualniam cyfrowy kalendarz. Kasuję „Frytki i *Przyjaciele*”, a na ich miejsce wpisuję nowe wydarzenie: „Pumpernikiel: wyjście z Soph”.

Wpatruję się w ekran, raz za razem czytając to, co napisałam.

Uświadamiam sobie, że czuję nie tylko ulgę.

Jestem podekscytowana.

2

– Pięć funtów dla LGBTQ plus i osiem dla heteryków.

Dobrze, że wzięłam drobne.

Jesteśmy w The Familiar, queerowym barze w dzielnicy Hackney Wick. To okolice dobrze znane Soph, która praktycznie tutaj zamieszkała, kiedy po szkole przeprowadziłyśmy się do Londynu.

– Powinnaś udawać lesbijkę – radzi, wręczając piątaka krótko ostrzyżonej kobiecie przy drzwiach. – Dzięki, kochana, jak się masz?

Ucina sobie serdeczną pogawędkę z bramkarkami, a ludzie w kolejce uważnie się jej przyglądają. Dziś wieczorem dosłownie promienieje – neony rzucają artystyczne cienie na jej ciemnobrązową skórę, migoczące czarne oczy podkreśla różowy brokatowy makijaż na powiekach, krótka sukienka z cekinami lśni niemal tak mocno jak jej długie nabalsamowane nogi, a złote spinki na warkoczykach połyskują niczym kryształy, gdy się porusza. A wie, jak to robić.

Tymczasem na mnie nikt nawet nie spojrzy. Może ich radary wyczuwają, że jestem od stóp do głów hetero. A może po prostu za sprawą bladej jak ściana skóry, średniej długości brązowych włosów i średniej długości czarnej sukienki, która rozgłasza wszem wobec: „Nie wychodziłam z domu od lat i nie mam co na siebie włożyć”, wyglądam pospolicie, jak internetowy awatar. Za bardzo się wstydziłam, żeby pozwolić Soph na zmianę mojego wizerunku. W końcu z gówna bata nie ukrećisz, więc wbijam wzrok w ziemię.

– Przepraszam – odzywa się jedna z supermodelek z kolejki. – Czy ty jesteś SophieSnob?

Soph dyga i wszystkie dziewczyny piszczą. Jeszcze tego brakowało.

– Mój Boże, oglądam twój kanał, odkąd jestem małą lesbijką!

– Twoje erotyczne porady uratowały mi życie!

Na szczęście kobieta na bramce każe im wrócić do kolejki. Soph władczy gestem macha komórką i prosi wszystkich o lajki i suby.

Dziwnie jest oglądać Soph w jej lesbijskim żywiole. Zazwyczaj kiedy spędzamy razem czas, siedzimy na kanapie, oglądamy komedie romantyczne i plotkujemy o ludziach, których nie znamy. Ale tutaj, w The Familiar, wszyscy uważają ją za krytyczkę kultury i koneserkę sztuki queer, a do tego, sądząc po spojrzeniach, za niezłą laskę. Mój kompleks niższości rozwija skrzydła.

Bramkarka boleśnie pieczętuje moją dłoń.

– To kot – tłumaczy Soph, widząc, że dźgam pieczętkę palcem.

– Towarzysz wiedźmy. Uroczy, prawda?

– Powinnaś go sobie wytatuować. Oszczędziłabyś sporo pieniędzy.

– To naprawdę dobry pomysł.

Prowadzi mnie w dół rampy do mrocznego korytarza rozświetlonego różowymi neonowymi pajęczynami i migoczącymi dyniami.

– Nie rozumiem – odzywam się, dotykając śliskiej ściany i wycierając palec o ramię Soph. – Jest luty. Po co te dekoracje?

– Jesteśmy w The Familiar. – Soph wzrusza ramionami, ściera maź ze swojego ubrania i rozsmarowuje ją na moim. – To miejsce dla wiedźm. Nie marudź.

Na końcu korytarza znajdują się drzwi zwieńczone gotyckim łukiem, na których narysowano olbrzymią sylwetkę wiedźmy. Jest podzielona na pół: anielsko błękitna lewa połówka ściska w dłoni zioła lecznicze, a demoniczna purpuroworóżowa prawa trzyma śmiercionośne mikstury. Soph robi sobie przed nią zdjęcia. Próbuje

namówić mnie na selfie, ale udaję, że jej nie słyszę.

Przy barze zauważam jeszcze więcej tandetnych halloweenowych dekoracji. Krzyczą na mnie duchy wymalowane na flagach. Koty wycięte z brokatowego papieru prężą grzbiety. Jedwabiste skrzydła nietoperzy wchodzą mi do oczu. Soph znajduje nam miejsce w odizolowanym boksie w kącie lokalu, pod plakatami skąpo ubranej czarownicy. Po chwili przynosi dwa firmowe drinki, niebieską Dobrą Wiedźmę i purpurową Złą Wiedźmę. Podaje mi ten pierwszy.

Wkurzam się. Może i jestem hetero, ale to nie oznacza, że jestem nudna.

Upijam łyk i kaszlę.

– Ile to ma procent?

Soph szczypie mnie w policzek.

– Dzięki, że ze mną przyszedłeś, Gee.

Wzruszam ramionami.

– Dzięki za szantaż emocjonalny, gdy okazało się, że twoje czadowe koleżanki lesbijki są zajęte.

– Nie pozwolę, żeby dziewczyny zawracały ci głowę – obiecuje i przesadnie puszcza do mnie oko. – Chyba że wreszcie postanowisz, że tego chcesz.

Drapię się po twarzy środkowym palcem.

Soph przewraca oczami i z satysfakcją rozgląda się po swoim królestwie. Mimo że ukryła się w kącie, mogłabym przysiąc, że przechodzący goście się na nią gapią. Pewnie miło być atrakcyjną.

Dziwne, ale kiedy wychodzę zabawić się ze swoimi znajomymi hetero (co zdarza się bardzo rzadko), cieszę się, kiedy obcy faceci nie zawracają mi głowy. Ale tutaj, gdzie nie ma żadnych samców, bycie ignorowaną ma inny smak. Może dlatego, że według mnie kobiety mają lepszy gust? Czuję się, jakbym została źle oceniona przez własne środowisko.

Nie chcę rozczarować Soph, ale kiedy kolejna oszalamiająca kobieta uśmiecha się do niej, a potem zauważa mnie i odchodzi, dochodzę do wniosku, że tylko jej bruźdzę. Muszę się napić.

Soph nalega, żebym poszła do baru sama, chociaż czuję się bardzo niepewnie. Sytuacja jeszcze się pogarsza, kiedy odrywam wzrok od podłogi i widzę, że barmanka jest nieprzyzwoicie piękna. Wygląda jak Cara Delevingne, ma krótko ostrzyżone platynowe włosy, ciemne brwi i setki kolczyków. Spod jej kamizelki wystaje eklektyczna płatanina tatuaży – słońce i księżyc, wyjący wilk, coś, co przypomina kawałek sera (?), oraz odwrócony słonecznik rosnący na żebrach. Zastanawiam się, jak daleko sięga...

Boże, jest tak gorąco, że zaraz się rozpląnę. Ale zajęta barmanka każe mi czekać, pewnie dlatego, że ani nie jestem lesbijką, ani nie oszałamiam urodą. Co mam zrobić, żeby mnie obsłużyła, wytatuować sobie tęczę na twarzy?

Czuję znajomy zapach perfum Chanel. Soph opiera się o bar obok mnie, nonszalancko kiwa głową i od razu trafia na początek długiej kolejki.

– Poproszę Złą i Dobrą Wiedźmę – zamawia, a w jej ustach te nazwy brzmią efektownie i uwodzicielsko.

Barmanka pośpiesznie wymachuje shakerami.

– Albo lepiej dwie Złe Wiedźmy – mówię bez namysłu. – Podwójne.

Od razu uzmysławiam sobie swój błąd.

– To drinki – odpowiada barmanka, nie podnosząc wzroku znad pojemnika z lodem. – Nie robimy podwójnych.

Soph się śmieje, a ja udaję, że jej wtóruję, ale wiem, że ta chwila będzie do mnie powracać w koszmarach. Zawstydzona wracam do naszego boksu z niepodwójną Złą Wiedźmą. Zadowolona z siebie Soph unosi brew.

– Nie patrz tak na mnie. Po prostu chciałam spróbować tego różowego.

– Nieważne, mała – pociesza mnie Soph. – Nie musisz się przede mną tłumaczyć z tego, co pijesz.

Na szczęście nie muszę się kłopotać zmianą tematu, ponieważ coś odwraca jej uwagę. Światła przygasają i wszyscy odwracają się w

stronę sceny. Reflektor punktowy podąża za zakapturzoną postacią, która posuwistym krokiem zbliża się do mikrofonu. Zrzuca kaptur i naszym oczom ukazuje się biuściasta drag queen ubrana w migoczącą suknię w kolorze fuksji, w peruce i z brodą.

– Dobry wieczór, czarodziejskie istoty – wita nas ponętym głosem. – Witajcie w The Familiar. Jestem Polly Amory, wasza niezwykła gospodyni.

Widownia wiwatuje. Podejrzewam, że doskonale ją znają.

– Znam zakłęcie, które pozwoli przywołać pierwszego artystę. Ale... och nie!... gdzie włożyłam swoją różdżkę?

Obmacuje się, wyraźnie dobrze się przy tym bawiąc.

– Ciągle coś gubię. Kluczyki, karty kredytowe, godność. Zgubiłam głowę, gdyby nie była przytwierdzona.

Wyjmuje z majtek zjawiskowo długą różdżkę.

– Voilà! Teraz mogę przywołać prawdziwą legendę wśród drag kings... i jednego z moich wielu byłych kochanków. Przed wami Willy Nilly!

Nawet nie wiedziałam, że istnieją też drag kings. Okazuje się, że w The Familiar to chleb powszedni. Willy Nilly ma na sobie strój w stylu Szekspira i opowiada wierszem o tym, jaki jest dobry w łóżku. Po krótkiej prezentacji robi striptiz i uwodzicielsko zdejmuje krezę, pod którą kryje się kolejna. Kiedy wreszcie zrzuca pantalonek, okazuje się, że jego mały William również nosi krezę. Jest całkiem dobry jak na gościa w papierowej spódnicy, który wymachuje sztucznym fluorescencyjnym zielonym penisem.

– Numerek z Willym to poezja! – woła Polly, teatralnie puszczając oko.

Widownia wydaje głośny jęk, a potem zegna oklaskami oddalający się tyłek Willy'ego.

Potem na scenie odbywa się recytacja niezwykle poważnych wierszy o tym, że kobiety hetero są współodpowiedzialne za patriariat. Chichoczę nerwowo, aż w końcu Soph kopie mnie pod stołem.

– Teraz pora na antrakt – ogłasza Polly. – Możecie się napić, wysusiać, poflirtować, a za dziesięć minut zapraszamy na główną atrakcję wieczoru... Wiem, że to z ich powodu założyłyście swoje najlepsze ciuchy. Zaszczyci nas nasza ulubiona kobieca grupa, Faza!

Gwałtownie oglądam się na Soph. Wśród publiczności rozlegają się okrzyki ekscytacji. Soph upija łyk Złej Wiedźmy.

Uch. A więc po to mnie tutaj ściągnęła. Od jakiegoś czasu zawraca mi głowę tym zespołem. Widziała go kilka tygodni temu w The Glory i twierdzi, że byłabym nim zachwycona. „Dziewczyny są takie oryginalne, nowatorskie, seksowne, bla, bla, bla”. Tylko że ich muzyki nie ma w sieci. Oczywiście nawet nie szukałam.

Stukam się palcem w brodę, udając obojętność.

– Czy Faza to nie jest ten zespół, który ma wszystkie piosenki o okultyzmie?

– Nie – odpowiada Soph. – Wszystkie ich piosenki mają motyw astrologiczny.

Wbijam w nią wzrok.

– Zaufaj mi, kiedy je zobaczysz, uwierzysz w każde ich słowo – zapewniam.

– Błagam cię. Nie wystarczy grupka piosenkarek amateerek, żebym uwierzyła w horoskopy.

– Horoskopy to lipa – przyznaje Soph asekuracyjnym tonem. Potem unosi idealnie wyskubaną brew. – Chcę przeprowadzić z nimi wywiad dla SophieSnob i pomóc im w rozkręceniu kariery. Namówię je, żeby zadedykowały mi jedną z piosenek.

– *Och, Sophie, wielkie szczęście masz, gwiazdy mówią, że mi dzisiaj dasz* – fałszuję na melodię popowego refrenu.

– Kurczę, nie straciłaś talentu!

Oblewam się rumieńcem. Zazwyczaj nie piję tak dużo.

– Mogłabyś znów zacząć pisać piosenki – mówi Soph delikatniejszym głosem.

Dżgam oliwkę w koktajlu wykałaczką w kształcie miotły czarownicy.

– To było dawno temu.

– Poczekaj, coś tutaj masz.

Dotyka mojej sukienki i uważnie jej się przygląda.

– Wygląda jak... no tak, nosisz w sercu jakąś zadrę.

Próbuję zepchnąć ją z barowego stołka, ale ona tylko się śmieje.

– Serio, to nie jest zabawne – odpowiadam. – Nigdy więcej nie będę grała na pianinie.

– Przecież tego uczysz.

– Właśnie! Ludzie, którzy umieją grać, są muzykami. Reszta naucza gry.

– Co innego mówiłaś o lekcjach swojego taty.

Cios poniżej pasa. Nawet Soph sprawia wrażenie zaskoczonej swoją śmiałością. Udaję, że jej nie słyszałam.

Przenoszę wzrok na scenę, gdzie wysoka i ładna czarnoskóra kobieta z krótkimi warkoczykami, ubrana w obcisłą dzinsową koszulę, rozstawia keyboard.

– To Marsha Adomako – wyjaśnia Soph. – Gra na klawiszach w Fazie.

Wpatruję się w nią coraz bardziej intensywnie. Założę się, że nigdy nie byłam tak dobra jak ona.

Marsha schodzi ze sceny, spogląda na telefon i tłumaczy coś Polly Amory. Pewnie reszta zespołu się spóźnia.

Kiedy tylko dochodzę do takiego wniosku, przez boczne drzwi jak na zawołanie wchodzi trzy osoby, wpuszczając do środka powiew wieczornego chłodu. Wszyscy w barze patrzą w ich stronę.

Są jak najpopularniejsze dziewczyny na korytarzu w liceum. Jak kowboje ruszający do walki z szeryfem. Jak superbohaterowie, którzy pojawili się, by ocalić świat.

– Faza – szepcze Soph.

Na przedzie idzie kształtna blondynka, która przypomina Marilyn Monroe, ale jakimś cudem jest jeszcze bardziej kobieca. Efektowne jasne loki, skóra biała jak śnieg, lśniącą szminka. Ma na sobie olśniewającą długą czerwoną sukienkę, ściśniętą w talii

paskiem z klamrą, który idealnie pasuje do jej butów na wysokich obcasach. Niesie futerał na gitarę, jakby to była torebka. Kojarzy mi się z kobietą z jakiegoś renesansowego obrazu albo oldskulowej rozkładówki.

– Ta pierwsza to Isobel Evennett. Wokal i gitara. Za nią, ta z różowym afro, to Rudy Cooper. Bas.

Włosy Rudy rzeczywiście są ufarbowane na cukierkowy róż. Ma brązową skórę, którą znaczą liczne piegi, nosi obszerne dżinsowe ogrodniczki i ma na ustach łobuzerski uśmiech. Dźwiga żółty futerał na gitarę basową i wita zaangażowanym uściskiem dłoni każdą z mijanych osób. Wygląda jak główna bohaterka filmu Pixara.

Ale mój wzrok przyciąga osoba za nimi. Trzeci jeździec lesbijskiej apokalipsy.

– To Kit Tsuki.

Kit jest, mówiąc wprost, najatrakcyjniejszą osobą, jaką widziałam w życiu. Wysoka, smukła i hermafrodytyczna, ma gładką brązową skórę i potargane włosy otaczające jej twarz czarną aureolą. Jest ubrana w powycieraną skórzaną kurtkę, podarte czarne dżinsy, wysłużone buty i nie nosi żadnych ozdób poza kolczykiem w nosie i prostym srebrnym łańcuszkiem na szyi. Jej kości policzkowe są tak ostre, że rani mnie samo patrzenie na nie, a płonące oczy ma umalowane w stylu gwiazdy rocka. Wciągają mnie jak czarne dziury. Patrzy prosto na mnie.

Mogłabym przysiąc, że przez chwilę wpatrujemy się w siebie nawzajem. Świat się zatrzymuje. Mój żołądek wywija koziołka. Oblewam się rumieńcem. Gwałtownie odwracam wzrok.

Ależ to było dziwaczne. Pewnie zaszkodziła mi oliwka z drinka.

Wszyscy patrzą na zespół swobodnie przemierzający salę. Ale tuż przed dotarciem do sceny Kit się waha. Rzuca szybkie spojrzenie w moją stronę.

– ...na przykład teraz! – piszczy Soph. – Już rozumiesz, o co mi chodzi?

Uświadamiam sobie, że Soph przez cały czas mówiła, a ja nie

usłyszałam ani słowa. Odrywam wzrok od Kit.

– Co takiego?

– Kit stale na mnie patrzy. Nie gap się teraz! Jezu, odrobinę subtelności.

Aha. No tak. Kit oczywiście patrzyła na Soph. Boże, ale ze mnie idiotka.

– Podoba ci się?

– Podoba? – Soph odrzuca warkoczyki na ramiona. – Jesteśmy w sobie praktycznie zakochane.

Śmieję się. Soph mi nie wtóruje.

– Kit i ja od zawsze się rozumiałyśmy – obstaje przy swoim. – To tylko kwestia czasu. Na razie się ze sobą drażnimy.

Może wspominała mi o Kit. Nie jestem w stanie zapamiętać wszystkich kobiet, w których moja przyjaciółka jest „praktycznie zakochana”.

– Kit jest z Marshą – tłumaczy konspiracyjnym szeptem. – Marsha twierdzi, że to „otwarty związek”. Kit mówi, że „tylko się pieprzą”.

Czuję, że policzki znów mi czerwienieją. Zanim Faza znika na osłoniętej mrokiem scenie, Kit swobodnym gestem ściera coś z szyi Marshy. Czuję mrowienie na swojej. Drapię się nerwowo.

Światła przygasają przy barze, a rozbłyskują na scenie. Powraca Polly Amory w lśniącej sukni, z peruką i brodą ufarbowanymi na fioletowo.

– Witajcie ponownie, skarbenki! – woła. – Wiem, że nie chcecie, żebym przedłużała, więc powitajcie na scenie moje cztery ulubione byłe kochanki... Oto Faza!

Zespół wkracza na scenę. Wyglądają jak boginie. Pośród lśniących imprezowych kurtyn, gwiazdzistych flag, kul dyskotekowych oraz różowych i niebieskich świateł promieniują pewnością siebie.

Marilyn Monroe vel Isobel obejmuje palcami mikrofon i uśmiecha się nieśmiało.

– Cześć, kochane – szepcze. Widownia wstrzymuje oddech.

– Dziękujemy za ponowne zaproszenie do The Familiar. Czy ktoś już nas słyszał?

Większość zgromadzonych z entuzjazmem podnosi ręce.

– Obiecuję, że nawet jeśli nas znacie, nie będziecie się nudzić – ciągnie Isobel z uśmiechem. – Nigdy nie gramy swoich piosenek w taki sam sposób. Improvizujemy i aranżujemy je, bo zależy nam, żeby muzyka naprawdę żyła. Dlatego proszę, schowajcie telefony i spędźcie ten czas z nami.

Nawet Soph, której zdarzyło się pisać na Twitterze podczas seksu, chowa komórkę do kieszeni. Co to za czarna magia?

– Jesteśmy Marsha, Rudy, Kit i Isobel, a razem... – Milknie na chwilę i przygryza wargę. – Jesteśmy po prostu Faza.

Marsha zaczyna grać klawiszowy wstęp do pierwszego kawałka.

Te pierwsze nagłące nuty są jak pocisk, który trafia mnie prosto w mózg.

O wiele za późno uświadamiam sobie, dlaczego nie powinnam była tutaj przychodzić.

Są genialne. Zbyt genialne. Eksperymentują, łącząc jazzowe wpływy z rockiem, folkie, bluesem i popem, dzięki czemu uzyskują unikalne brzmienie. To nie powinno działać, ale jakimś cudem brzmi idealnie. Właśnie taką muzyczką chciałabym być. A raczej kiedyś chciałam nią zostać. Zazdrość, niechęć, poczucie winy i tęsknota szaleją we mnie i wytrącają z równowagi.

Faza zaczyna śpiewać, równo i z pewnością w głosach, w hipnotycznej harmonii.

Od zawsze na krawędzi żyję

Za dużo lub za mało daję...

Wiem, że nie powinnam się w tym zatracać, ponieważ później będzie jeszcze bardziej bolało. Ale mam wrażenie, że ta muzyka trzyma moją głowę pod wodą. Czuję przyływ adrenaliny i naprawdę nie mogę złapać tchu. To takie zawstydzające. Przypominam sobie mity o syrenach, które sprawiały, że żeglarze rzucali się za burtę. Ogarnia mnie natarczywe pragnienie zasłonięcia uszu, ale nie chcę,

żeby Soph to zobaczyła.

Ich głosy brzmią razem tak doskonale. Wszystko do siebie pasuje.
Dlatego całkowicie się w nich zatapiam.

Marsha zamyka oczy i rozkłada ręce nad klawiszami, Isobel otacza dłońmi mikrofon, Rudy obejmuje bas, a szczupłe ręce Kit delikatnie krążą nad bębnami.

Wszystko inne przestaje istnieć.

Proszę. Jeszcze tylko jeden refren...

Ale piosenka się kończy.

Zapada dojmująca cisza. Zamykam oczy, próbując utrwalić tę chwilę na swoim wewnętrznym twardym dysku.

W głowie mam tylko jedną myśl: żałuję, że nie mogę powiedzieć o nich tacie.

Potem tłum zaczyna krzyczeć i świat odzyskuje ostrość. Budzę się gwałtownie z głębokiego snu, zdezorientowana, pozbawiona tchu i zawstydzona. Powinnam klaskać. Powinnam pokrzykiwać jak te wariatki wokół mnie. A przynajmniej powiedzieć Soph, że miała rację.

Ale nie mogę się poruszyć, tylko wpatruję się w scenę, rozpaczliwie pragnąc, by zespół znów zaczął grać i zastąpił moją paskudną osobowość swoimi idealnymi piosenkami.

Isobel cicho przemawia do mikrofonu, do mnie.

– Odpowiedzcie szczerze: kiedy po raz pierwszy zaakceptowałyście swoje pragnienia? Kiedy zrozumiałyście, że nie jesteście hetero?

Przestają oddychać.

– Kiedy byłam dzieckiem – ciągnie Isobel, chowając kosmyk blond włosów za ucho – nie opowiadano mi o lesbijskiej miłości. Dlatego zakładałam, że silne uczucia, które wzbudzały we mnie niektóre koleżanki, to powszechna reakcja w towarzystwie ładnych dziewcząt.

Widownia się śmieje, a ja przypominam sobie, że jestem w tłumie. Ona nie mówi do mnie. Boże, to było idiotyczne. Tak się

kończy zatracanie się w muzyce.

Widownia kiwa głowami i strzela palcami. Wygląda na to, że tutaj to odpowiednik klaskania.

– Potem w kościele usłyszałam dwie kobiety, które śpiewały o tym, że chcą wziąć ślub, i wszystko zaczęło do siebie pasować. Dlatego bycie częścią lesbijskiego zespołu jest dla mnie takie ważne. Chcę być głosem, który dociera do ludzi i pokazuje im inne wizje tego, czym może być szczęście. Zawsze będę wdzięczna tej społeczności, która przyjęła mnie z otwartymi rękami...

– I rozchyłonymi nogami! – woła ktoś z tłumu. Isobel śmieje się i trzęsie lokami. Potem patrzy na ludzi i zaczyna śpiewać powolną i piękną rockową balladę, a ja znów rozpływam się w jej głosie.

Kolejny piękny wieczór

Dla każdej Panny w czerwcu...

Piosenka jest tak piękna i zarazem smutna, że mam ściśniętą krtani. Ból tekstu miesza się z łagodnością głosu Isobel. Ona przeżywa każde słowo, a ja jej w tym towarzyszę. Patrzę, jak osoba, którą kocha, całuje kogoś innego, i cierpliwie czekam – z tęsknotą – aż zmieni zdanie.

Piosenka się kończy i rzeczywistość powraca, znów zbyt gwałtownie.

Tym razem Soph obraca moją twarz w swoją stronę. Patrzy mi w oczy, a potem z czułością ściera wilgoć z mojego policzka. Ledwie dochodzę do siebie, gdy nastrój w sali całkowicie się zmienia.

Wciąż jestem w szoku po *Czerwcowej Pannie*, gdy Rudy wyskakuje na przód sceny, energicznie odlicza i zaczyna grać numer w stylu electro-glitch-hop. W refrenie rozbrzmiewają odgłosy telefonicznych powiadomień, w tekście raz za razem pojawia się jakaś „gwiazda”, czego nie rozumiem, ale publiczność ze śmiechem zaczyna tańczyć. To jedna z tych absurdalnie radosnych i uzależniających piosenek, które wtłaczają w ludzi przekonanie, że wszystko będzie dobrze. Soph dźwiga mnie na nogi.

Kiedy w przeszłości gdzieś razem wychodziłyśmy, byłam zbyt

zawstydzona, by czerpać radość z tańca, ale nastrój panujący w lokalu i ta piosenka – a także fakt, że jestem zalana w sztok – sprawiają, że moje zahamowania znikają. Tańczymy w naszym ciemnym boksie, a kiedy piosenka się kończy i w powietrze wystrzeliwuje konfetti, jesteśmy w euforii.

Wtedy Kit wstaje zza zestawu perkusyjnego.

Wszyscy w sali nieruchomieją. Podchodzi do krawędzi sceny, odgarnia włosy z oczu i lekko stuka palcem w mikrofon, sprawdzając, czy jest włączony. Wszyscy czekają jak na szpilkach.

– Ta piosenka nosi tytuł *Mercury* – odzywa się. Boże, ma idealnie chrapliwy głos gwiazdy rocka. – Opowiada o seksie.

Mogłabym przysiąc, że jedna z dziewczyn w tłumie mdleje.

Nie zmuszaj nas

Do rozstania

Chodź, no chodź, no chodź, kochana...

Kit się poci. Widownia się poci. Ja też się pocę, jak jeszcze nigdy w życiu, choć tylko stoję i patrzę.

Kit w końcu po raz ostatni mocno uderza w talerze, zamyka oczy i triumfalnie podnosi pałeczki. Odchyła głowę do tyłu, ciężko dysząc, jakby rozkoszowała się zmęczeniem. Potem pochyla się na krzeselku, wciąż nie otwierając oczu, jeszcze przez chwilę podtrzymując to uczucie. Całe moje ciało oblewa fala gorąca.

A potem Kit otwiera oczy i tłum wybucha. Krzyczą, szlochają i namiętnie się całują – czasem w trójkątach – a ja czuję na sobie spojrzenie Soph. Wiem, że powinnam się odwrócić i do niej uśmiechnąć, ale wciąż nie mogę oderwać wzroku od Kit.

Wkrótce odejdzie i już nigdy jej nie zobaczę. Gdyby udało mi się uchwycić dokładny obraz jej twarzy, plamy światła na skórze, włosy i oczy, być może umiałabym sobie wyobrazić...

Faza kłania się i schodzi ze sceny. Magia się ulatnia.

– To już koniec koncertu – odzywa się Polly Amory – ale dopiero początek nocy. Do zobaczenia na sali!

Zapalają się światła. Z głośników rozbrzmiewa przebój Britney

Spears. Wszyscy wracają do swoich spraw, jakby nic się nie stało.

Ale ja stoję nieruchomo. Czuję się jak Dorotka, która zobaczyła Krainę Oz w technikolorze.

Chcę być tak utalentowana jak Marsha. Tak pełna wdzięku jak Isobel. Tak zabawna jak Rudy. Tak... pociągająca jak Kit. Chcę się z nimi zaprzyjaźnić. Stać się jedną z nich. Być nimi. Stanąc na tej scenie i sprawić, by ludzie coś poczuli. Uśmiechać się z dumą do zachwyconego tłumu, wiedząc, że to moje miejsce.

Ale nie mogę. Czas wrócić do domu.

*

Mówię Soph, że idę do toalety, a potem wychodzę. Chyba mnie nie słyszy, ponieważ zauważyła futbolową koszulkę Jenny po drugiej stronie sali i teraz odprowadzają jakiś taneczno-pocałunkowy rytuał godowy.

Chociaż toalety są przeznaczone dla wszystkich płci, kolejki do kabin są obłędnie długie, a nie mam śmiałości skorzystać z pisuaru. Czuję, że pęcherz za chwilę mi pęknie. Błagam, nie mogę zsikać się w obecności tych wszystkich idealnych kobiet.

Pijacki instynkt prowadzi mnie na zaplecze w poszukiwaniu kolejnej toalety. Przystawiam ucho do drzwi garderoby. Pusto. Przemykam w stronę łazienki między częściowo poskładanymi kostiumami i napoczętymi przekąskami. Alleluja!

Ale kiedy siadam, zdaję sobie sprawę, że cały świat wiruje, a mnie potwornie chce się spać. Nie, muszę zachować przytomność, w przeciwnym razie Soph uzna, że porwały mnie lesbijki o kiepskim guście. Staram się skupić na muzyce Fazy, która wciąż rozbrzmiewa w mojej głowie.

– Nie zmuszaj nas do roz...

Głos Kit, niezwykle wyraźny.

– Nie mów do mnie w ten sposób!

Co takiego?

– Marsha, uspokój...

– Nie każ mi się uspokajać.

Wstrzymuję oddech. Domyślam się, że to nie najlepsza chwila, żeby wyjść z toalety i bawić się w fankę.

– Otwarty związek nie oznacza, że nie obowiązuje nas wzajemna szczerść – mówi Marsha. – Widzę, że coś przede mną ukrywasz. Kim ona jest? To ktoś, kogo znam? Kochasz ją?

– Marsha, nie rozumiesz...

– Nie, to ty nie rozumiesz. To koniec. Nie będę więcej się z tobą spotykać. Z Fazą też koniec. Wreszcie możesz sypiać, z kim zechcesz, i nigdy więcej nie myśleć o niczyich uczuciach, także o swoich własnych. Powodzenia.

Szurają buty. Kit coś woła. Trzaskają drzwi. Zapada cisza.

Uchylam drzwi łazienki i wyglądam. Droga wolna.

Zastanawiając się, o co poszło, myję ręce, ochlapuję twarz, patrzę w lustro otoczone wywołującą nostalgię ramą ze świetlówek – Boże, wyglądam fatalnie – widzę Kit, która siedzi na podłodze, poprawiam kolczyki, staram się przyklepać włosy, żeby wyglądały choć trochę...

Okręcam się na pięcie. Kit patrzy na mnie spod wieszaka z ubraniami.

– B-bardzo przepraszam – mamroczę.

– Nie, nie, nic się...

Pośpiesznie ociera twarz. Psiakość, ona płacze. Tkwią zakorzeniona w miejscu jak speszzone drzewo.

Kit odkasłuje.

– Jesteś jedną z artystek? – pyta.

– Jestem muzyczką – odpowiadam machinalnie i od razu uzmysławiam sobie, co powiedziałam. Cholera! Zmień temat. – Naprawdę... bardzo podobał mi się koncert Fazy – mówię. – Dzisiaj po raz pierwszy was słyszałam i byliście naprawdę... – Szukam odpowiedniego słowa, które wyrazi to, jak wiele ten występ dla mnie znaczył. – Dobrze.

Zamordujcie mnie. Ale Kit uśmiecha się słabo.

– Dzięki. Wybacz ten... bis.

– Nie, to ja przepraszam.

– Zdarza się. – Wzrusza ramionami. – Ale będę wdzięczna, jeśli nikomu nie powiesz.

– Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Też tak sądzę – odpowiada, uważnie mi się przyglądając.

Potem wzdycha, podrywa się na nogi i wyciąga paczkę papierosów ze skórzanej kurtki. Częstuje mnie. Odruchowo kręcę głową. Wzrusza ramionami, nieco zaskoczona.

– Paskudny nałóg – stwierdza z papierosem w ustach.

Patrzę na nią, kiedy zapala. Zerkam na alarm przeciwpożarowy zasłonięty foliową torebką. W normalnych okolicznościach taka porządna dziewczyna jak ja uciekłaby i wezwała policję oraz straż pożarną. Ale mam wrażenie, że to test, a ja koniecznie chcę go zdać.

Stoimy w ciszy, patrząc na dym kłębiący się wokół jej ust. Postanawiam jak najszybciej zacząć palić.

Kit wyciąga do mnie rękę.

– Mam na imię Kit – mówi z niewzruszoną miną.

– Jestem Ge... Geor... Gi... – dukam z miną idiotki.

Jej gorące palce zaciskają się na mojej dłoni. Zdobywam się na odwagę, by popatrzeć w jej czarne oczy, a mój żołądek wywija koziołka.

Kit patrzy prosto na mnie, jakby mnie znała i wiedziała, że jesteśmy takie same.

– Miło cię poznać, George.

*

Chwiejnym krokiem wracam na parkiet, gdzie znajduję Soph. Nawet nie zauważyła, że mnie nie było, ponieważ przyssała się ustami do Jenny.

– Soph, muszę wracać do domu! – wołam do ich połączonych twarzy. Nabierają powietrza, a Jenny mi salutuje.

– Myślałam, że dobrze się bawisz – jęczy Soph, pozbawiona tchu. – Może pójdziemy poznać Fazę?

– Nie! Muszę iść.

– Ale...

– Soph.

– Ale...

– Pumpernikiel.

Dzwoni po taksówkę.

Stoję przed swoim mieszkaniem, a zapętlone piosenki Fazy rozbrzmiewają w mojej głowie. Kryje się tam także tajemnica Kit. Wciąż czuję mrowienie w dłoni po jej dotyku. Słyszę jej głos, gdy powiedziała do mnie George...

George! Jeszcze nikt tak mnie nie nazwał. Zazwyczaj mówią Gina. Rodzice nazywają mnie Ginny. Soph zdrabnia moje imię do Gee. Ale nigdy George.

George.

Chyba mi się podoba.

Nucąc melodię *Merkurego*, szukam kluczy.

Nagle ktoś po drugiej stronie przekręca gałkę i otwiera drzwi.

Patrzy na mnie wysoki brodaty mężczyzna w okularach. Ma piegowatą bladą skórę i rudawobrązowe włosy na każdej części ciała, której nie zakrywa zrobiony na drutach sweter. Szczerzy zęby jak szczeniak czekający na smakołyk.

– Gina! – woła ze szkockim akcentem, nie bacząc na sąsiadów. – Witaj w domu! Jak lesbijki?

Potem chwyta mnie w objęcia i niesie do naszej sypialni.

No tak... To Douglas. Od siedmiu lat mój chłopak.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).